Rok 1898. Lwów, dnia 28. marca. Nr. 13.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego"

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

X.

Naczelnik pilotów pisywał przez całą zimę listy dla Njaedela. Najpierw do Krystyny, a potem do Andersa o „sprawie", która się jakoś nie mogła skończyć. W głowie naczelnika pilotów zaczęło powstawać lekkie podejrzenie przeciwko stryjowi Andersowi; z pewnością działy się jakieś dziwne rzeczy z temi pieniądzmi, których żądano nieustannie. Najmniej jednak podobało mu się to, co pisał Anders w ostatnim swoim liście o Krystynie.

Nie pomagało jednak nic, gdy wyrażał się ostro o Andersie; Njaedel gniewał się okropnie. To też naczelnik musiał bez wytchnienia wysyłać oszczędności Njaedela, a gdy te się skończyły, musiał mu dopomódz do zaciągnięcia pożyczki.

Njaedela ta „sprawa" jakby opętała; nie myślał już o czem innem, a co dnia oczekiwał, że przyjdzie posłaniec od króla i powie:

— Njaedel ma słuszność.

Tak samo musiał naczelnik udzielać Krystynie rad i napomnień, których, jak pisał Anders, tak bardzo jej było potrzeba; Njaedel żądał stanowczo, aby do niej było pisane tak, jak tego życzył sobie Anders, gdyż Anders to wszystko rozumiał, i tylko jeden Anders znajdował na wszystko radę.

Dlatego też kosztowało Krystynę niemało trudu, aby zrozumieć listy naczelnika; jednakowoż trapiło ją jakieś niejasne przeczucie, iż nie wszystko w domu tak się dobrze dzieje, jak to zawsze było pisane, że u Njaedela nie wszystko w porządku. Jeszcze dziwniejszemi były jednak wskazówki, tyczące się jej samej. Tak siedziała pewnego dnia w lutym i zadumała się nad pewnym ustępem ostatniego listu naczelnika pilotów.

„Żyłem długo i widziałem wiele troski i nędzy, pochodzących z miłostek i oszukaństwa, skoro one pochodziły od ludzi światowych, gdyż na nich dziewczęta budować nie mogą. Ale musisz się modlić o to, aby z przemijającej miłostki serce twoje zwróciło się do jakiego rozsądnego człowieka, chociaż trochę starego: nic to nie szkodzi... Gdy się raz do niego przyzwyczaić, to dobre utrzymanie mojem zdaniem jest największym zyskiem i korzyścią *nota bene* na wieczne czasy, które trwają aż do śmierci".

Krystyna siedziała jeszcze z listem w ręku, gdy zobaczyła Hildę przechodzącą ulicą i skręcającą we drzwi. Było tak silnem przyzwyczajeniem u Hildy, że wchodziła do Krystyny, wracając z miasta, że Krystyna na pół zamyślona powstała i otworzyła drzwi.

Hilda chciała pójść dalej, obejrzawszy się jednak ostrożnie dokoła, wsunęła się i zamknęła drzwi za sobą.

Krystyna patrzyła na nią zdumiona.

— Nie mów nikomu, że byłam tutaj, Krystyno; mama mi zakazała chodzić do ciebie.

— Dlaczego? — zapytała Krystyna poważnie.

— Nie mogę tego powiedzieć — odparła Hilda i spojrzała w bok — jestem jednak pewną, że to wszystko nieprawda, co mama mówi.

— A co powiada twoja matka? — zapytała Krystyna tym samym poważnym tonem.

— Ach, Krystyno, nie pytaj mnie! — prosiła Hilda i chciała znowu iść.

— Chcę wiedzieć! — zawołała Krystyna i uchwyciła ją za ramię.

— Powiada, że za często tutaj przychodzimy...

— Kto?

— Ja, i... i...

— Któż więcej?

— Chłopcy... szczególniej Jan, powiada mama... Ale ja w to poprostu nie wierzę; obawiam się tylko mamy.

Krystyna puściła ją, a ponieważ przyszedł właśnie stryj Anders, Hilda wysunęła się, zmięszana i zaniepokojona tem, co uczyniła.

Krystyna stała blada z załamanemi rękami; teraz dopiero zaczęła rozumieć. Oto o co ją posądzano: że wabi do

siebie synów domu. Była to największa hańba, jaką sobie tylko mogła wyobrazić: wabienie do siebie mężczyzn; „szczególniej Jan“ — powiedziała Hilda, doktor, najstarszy syn ministra! I to ona miała uczynić!

— Chcę jechać do domu, stryju Andersie.

— To takby wyglądało, jakby ludzie mieli słuszność! — odparł spokojnie.

— I ty wiesz także? — zapytała Krystyna — ale cóż ja takiego uczyniłam?

— Chwała Bogu, nie uczyniłaś nic, droga Krystyno nie masz się czego obawiać. Już ja na ciebie będę uważał; powiedziałem to samo ministrowi.

— Ministrowi? I on także wie? Chcę jechać do domu! Pozwól mi powrócić, stryju... — prosiła Krystyna błagalnie.

— Obawiam się, że wydawałoby to się w domu, jakoby się stało coś nieprzyjemnego i ty z tego powodu powracasz do domu — rzekł stryj Anders.

— Z tego powodu! — powtórzyła w duchu Krystyna.

Przypomniała sobie rady i upomnienia naczelnika; wszystko to kręciło się jej w głowie i czuła się zupełnie bezsilną.

— Ale cóż mam począć? — zawołała i złożyła ręce.

— Nie przerażaj się tylko, Krystyno! Znajdę dość odwagi, aby cię wytłómaczyć przed ministrem i jego żoną; a jeżeli ci ktoś dokuczać będzie, to przyjdź tylko do mnie.

Przy tych słowach stryj wyprostował się i uścisnął serdecznie jej rękę.

To ją uspokoiło. Było przecież dobrze, że miała stryja Andersa; na nim mogła polegać. Przedewszystkiem obawiała się i postanowiła sobie trzymać się przez całe swoje życie zdala od wszystkich młodych ludzi.

Krystyna wzięła znowu do rąk list naczelnika i usiadła, aby nań odpowiedzieć. Nie chciała, aby w domu przeczuwano, że coś nie jest w porządku.

„Kochany ojcze! i naczelniku pilotów! Moje myśli są prawie zawsze przy was; ale jeżeli niekiedy serdecznie i z tęsknotą rwę się do was, to jednak muszę dziękować Bogu, że mi jest tutaj tak dobrze. Najpierw muszę opowiedzieć, że stryj Anders powiada, iż ze sprawą teraz pójdzie lepiej. Chce w tych dniach sam napisać i powiada, że ma z tą sprawą dla ojca wiele do roboty i że na to potrzeba będzie więcej pieniędzy, jeżeli ma pójść dobrze. Ale wszyscy powiadają tutaj, że stryj Anders jest najzręczniejszym w ministerstwie, a jest bardzo przyjazny dla mnie i dobrze mi jest pod każdym względem.

Tutaj nie ma wcale morza; tylko żółta woda, która przykro pachnie, nie tak jak morze w domu — ale jest okropne mnóstwo okrętów i wiele domów z kamienia i drzewa, które są tak wysokie, jak jeszcze nigdy nie widziałam. Teraz już muszę skończyć serdecznem pozdrowieniem dla mojego kochanego ojca i naczelnika pilotów

od oddanej córki

Krystyny“

U Hildy było zebranych kilka przyjaciółek na podwieczorku, chociaż nie była bardzo usposobioną do bawienia towarzystwa. Z powodu swej wizyty u Krystyny była i stroskana i zgniewana, a obawa przed matką była w istocie jeszcze tak wielka, że drżała, jak mała dziewczynka, chociaż już oddawna była dorosłą.

Już od małego dziecka słyszała, że się nie udała. Przyzwyczaiła się do tego, że smutek swej matki z powodu brzydoty córki jedynej pojmowała jako wyrzut, a nie jako smutek, a temu winną była po większej części sama pani Bennechen.

Mogła bowiem, jak sama była piękną kobietą i w pierwszym rzędzie przykładała zawsze wielką wagę do przyjemnej powierzchowności, zgniewać się i skarżyć głośno, że ona właśnie została ukaraną tem, iż taką córkę wydała na świat. I niekiedy działo się podczas wyrastania Hildy, że matka, wystroiwszy ją jak najpiękniej, ostatecznie odrzucała wszystko, wybuchała płaczem i wołała:

— Co to wszystko pomoże?! Jesteś i pozostaniesz nieudałą, poprawnie nieudałą!

Wszystkie te łzy matki paliły miękką duszę Hildy, i wszystko, co z latami mogłoby się było u niej rozwinąć, karłowaciało — z braku odwagi. Hilda tak się lękała matki, że nie odważyła się nawet poruszyć w obecności pani Bennechen.

Panna Hilda miała lat dwadzieścia trzy. W domu nie wolno jej było robić nic, na to była gospodyni a w towarzystwie z powodu jej brzydoty tolerowano ją tylko — jako cel do niezliczonych gorzkich ukłuć szpilką, tak częstych dla brzydkich i nieznacznych, którzy się kupią po kątach.

Jedyną jej pociechą był właściwie Jan; oboje „nieudali“ trzymali razem. Raz otrzymała pozwolenie chodzić na kurs dla guwernantek; minister sądził, iż „do pewnego stopnia“ należy popierać wykształcenie płci żeńskiej. Gdy jednakowoż przez pilną pracę (gdyż nie była szczególnie utalentowaną) zdobyła poważny zasób wiadomości, nie pozwolono jej składać egzaminu; to nie było dla niej odpowiednie. Na tem historja się skończyła.

Hilda Bennechen nie była szczęśliwą ani nieszczęśliwą. Życie jej było w rzeczywistości płytkiem — jeszcze płytszem nawet, jak życie kobiety w zwykłych warunkach. Co do jej wyglądu, to nie mogło być różnicy zdań, tak że pozbawioną była tych małych trjumfów lub klęsk, które zresztą tak chętnie towarzyszą młodości. Raz na zawsze poniosła ciężką klęskę, że taką się urodziła, jaką była, a koło, do którego należała, nie dawało jej żadnych innych szans.

Dlatego też zbliżenie się Delphina w ciągu ostatniej zimy wywarło na nią takie wrażenie. Nie opuścił nigdy polki po kolacji, gdy się spotkali na jakim balu i powoli stali się dobrymi przyjaciółmi.

Drwić z niej z powodu szambelana — stało się wśród jej przyjaciółek powszechnem, a Zofja Falck-Olsen zaczęła i dzisiaj, gdy panny przy stoliku trochę się uspokoiły:

— Jak to właściwie było z temi zaręczynami szambelana Delphina? Hilda, ty zapewne wiesz o tem najlepiej?

— Ja? Zkądżebym ja mogła o tem wiedzieć? — zapytała Hilda i zarumieniła się.

— Boże, jesteś przecież jedyną z nas młodszych, która cieszy się odznaczeniem, iż szambelan z nią tańczy.

— Nie sądź naprawdę, że mu się narzucam. Przeciwnie, mówię mu za każdym razem, aby się nie męczył wcale tą polką, jeżeli nie ma ochoty — zapewniała Hilda.

— No, mogę sobie przecież wyobrazić, że sądzi, iż musi wytrzymać, skoro raz zaczął. Ale zresztą — dodała Zofja trochę złośliwie — pierwszym razem było to widocznie tylko żartem. Było to na balu w jesieni u nas, o ile sobie przypominam...

— Mogę coś opowiedzieć o zaręczynach Delphina — zawołała teraz Karolina Hjelm, która dotychczas musiała słuchać spowiedzi Ludwiki w kącie kanapy — był zaręczony z jakąś kuzynką mojej mamy, ale po tygodniu zmusili ją jej krewni do zerwania, teraz zresztą wyszła za mąż za jakiegoś obywatela wiejskiego w Szwecji.

— No, o tem wiedzieliśmy już dawniej — odpowiedziała Zofja — ale dlaczego ją zmusili, aby z nim zerwała!

Zofja zajmowała się nerwowo wszystkiem, co dotyczyło Delphina.

— Czy sądzisz, że i tego nie wiem? — odparła Karolina. Stało się to dlatego, ponieważ wyszło na jaw, iż Delphin miał jakąś brzydką historję z mężatką, tam na zachodzie, gdzie był pełnomocnikiem. A mogę ci nawet powiedzieć, co ona za jedna, jeżeli chcesz wiedzieć, gdyż była to siostra kandydata Hiertha; teraz wiesz!

— Hiertha! To świetnie! — zawołała Zofja — mogę się zatem dowiedzieć całej historji; Hiertha mogę sobie owinąć dokoła palca jak ciasto.

— Czy to była naprawdę taka bardzo brzydka historja? — zapytała Hilda niepewnie.

— Jedna z najgorszych! — odparła Karolina stanowczo.

— Eh — zauważyła Zofja — nie była zapewne gorszą od wszystkich sprawek męzkich tego rodzaju. Zaprawdę, ktoś musiałby uwierzyć w to, że ci panowie są takimi wzorami cnoty, i zresztą nie byłoby wcale dobrze, gdyby tak było w istocie...

— Jak to rozumiesz, Zofjo? — zapytała przerażona Ludwika.

— Idź ty z swoim świętoszkiem Hansem! Myślę tak, jak powiedziałam, że niedoświadczeni, zanadto przyzwoici panowie są najnudniejszymi, najwstrętniejszymi na świecie!

Na podstawie tego zdania rozpoczęła się dyskusja. Gdy jednak zapał doszedł po szczytu, stanęła we drzwiach pani ministrowa i rzekła:

— Dobry wieczór, dzieci! Oho, paplanina w pełnym biegu! Uważaj Hildo, za daleko odsuwasz filiżankę! Jest tu dwóch młodych panów, którzy proszą o filiżankę herbaty, jeżeli panie pozwolą.

Za panią ministrową ukazali się teraz referendarze Hierth i Bennechen. Była to zaprzysiężona umowa między tymi dwoma przyjaciółmi, że wśród zupełnie różnych szans mieli się starać o pozyskanie ukochanej. Dlatego Alfred przyprowadzał z sobą Hiertha, gdy Zofja była u Hildy.

Tymczasem zrobiło się ciemno i pani Bennechen kazała pozapalać lampy w wielkim salonie, tak, że światło stłumione przez napół odsuniętą portjerę wpadało po pokoju, w którym młode towarzystwo śmiało się i paplało.

Alfred prowadził rozmowę z wielką zręcznością, a panna Zofja śmiała się i kokietowała z nim.

Jonasz Hierth wybrał inną metodę. Siedział w półcieniu, milczący i ponury, i za każdym razem, gdy na niego spojrzała, wlepiał w nią wzrok, który miał mówić:

— Fałszywy wężu, kocham cię mimo to!

Rozmowa była ożywiona, nie kręcąc się dokoła jednego przedmiotu; śmiano się, żartowano, drażniono, rzucano uwagi złośliwe lub uprzejme, jak się zdarzyło.

Przyszedł doktor Bennechen; usłyszawszy jednak śmiech w pokoju, chciał odejść.

— Chodź tu, Janie i napij się gorącej herbaty!

Jan wszedł, pozdrowił towarzystwo, ale z filiżanką herbaty wrócił do salonu. Był w złym humorze, gdyż we drzwiach spotkał się z Krystyną; przeszła obok niego i udała, że go nie widzi.

— Mój uczony brat musiał dzisiaj przejść wiele schodów!..— zawołał Alfred z gabinetu.

— Co pan przez to rozumiesz? — zapytała Zofja, która z tonu Alfreda odgadła, że coś się po za tem kryje.

— Tak, muszę paniom powiedzieć, iż brat mój nie jest przyjacielem chodzenia po schodach; najchętniej trzyma się pierwszego piętra, niekiedy jeszcze niżej.

— To byłoby źle, gdyby doktor obawiał się schodów! — zauważyła jedna z pań, nie rozumiejąc docinku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NASTROJE

I.

Życie — to zwykłe, bezsłoneczne, szare,
Którego treścią obiad, dach nad głowę,
To życie tłumów bezmyślnych, jałowe,
Chyli przemocą do mych ust swą czarę.

Gdzie oczy zwrócę, widzę jego marę:
„Dam ci kąt ciepły, pożywienie zdrowe,
Ale ty, chłopcze, wszystkie sny tęczowe
Na mym ołtarzu złożysz na ofiarę".

Tak sykiem węża szepce mi do ucha
Spokojne... gniewem nigdy nie wybucha,
Choć je przeklinam wciąż, odtrącam, gniotę.

Spokojne... wszędzie, jak cień, za mną kroczy
I rzuca szarą mgłę między me oczy
A niebo jasne, gdzie lśnią gwiazdy złote.

II.

Grób coraz bliżej... Dni płyną i płyną
Cicho, jak fale na pogodnem morzu,
Cicho w mgle wielkiej zapomnienia giną
I bez snów drzemią w niepamięci łożu.

Myśl, skamieniała na pustem rozdrożu,
Pluje na wszystko ślepej wzgardy śliną;
Już się nie błąka tęskna po przestworzu,
Bo z czary pragnień wylało się wino...

Czasem w noc ciemną wychyla się z mroku
Trup - widmo w szarym, padalczym obłoku
I wlepia we mnie swe oczy zielone:

„Mój Hamleciku, w nędznej minjaturze,
Cóż to? już zwiędły ideałów róże?
Już się prześniły sny, w zorzach złocone?..“

Włodzimierz Perzyński.

Z bieżącej literatury społecznej.

Dr. Gustaw Le Bon: „Psychologja rozwoju narodów". — W przekładzie i z przedmową Juljana Ochorowicza. Warszawa 1898.

Ze wszystkich dzieł omawiających t. zw. psychologiczną teorję w socjologji, książka Le Bona korzystnie wyróżnia się, tak ze względu na oryginalność oświetlenia podnoszonych kwestji, tak również ze względu na przedstawianie rzeczy ciężkich obrazowo i zajmująco. Autor jej — wybitny francuski socjolog, niepośledni znawca cywilizacji egipskiej, perskiej i asyryjskiej — wydał szereg prac, poświęconych historji cywilizacji i psychologji społecznej. Niniejsze dzieło, będące tłómaczeniem jego książki pod tytułem „Les lois psychologiques de l'evolution des peuples", należy uważać jako treściwą syntezę tamtych.

Przedewszystkiem autor zastanawia się nad cechami psychologicznemi, właściwemi każdej rasie, które określają par excellence jej organizację umysłową. Gdy zwiedzamy obce kraje, to uderzają nas znamiona wspólne — moralne i intelektualne mieszkańców danego terytorjum, właściwości zaś osobowe uchodzą naszej uwadze. Ogół tych znamion stanowi to, co można nazwać „duszą rasową". Skutkiem tego, łatwo możemy odróżnić hiszpana od anglika lub araba i scharakteryzować każdego z nich zosobna, przypisując właściwe im cechy umysłowe i etyczne. Prawie każda jednostka danej rasy posiada oczywiście mniej więcej jednakową organizację umysłową, a to z przyczyn czysto fizjologicznych. Każdy osobnik bowiem jest nietylko bezpośrednim produktem swych rodziców, lecz jednocześnie całej rasy, a więc poniekąd wszystkich swych przodków. „Przodkowie nieżyjący, odgrywają bardzo ważną rolę w życiu ras — pisze Le Bon — oni to są twórcami obyczajów i zwyczajów, sposobu myślenia, moralności i prawa". Wspólne cechy psychologiczne, dotyczące wszystkich osobników danej rasy, stanowią to, co nazywamy całkiem słusznie — charakterem narodowym. Naturalnie, charakter ten jest stały i dziedziczny; cechy zaś osobowe czyli indywidualne, podlegają ciągłej zmianie pod bezpośrednim wpływem wychowania i otoczenia, instytucji — wreszcie i samej przyrody.

Właściwie, na pierwszy rzut oka, wydaje się, jakoby nie stałość cech psychologicznych, lecz ich zmienność miała być regułą dziejową i rzucać się nam w oczy. Niekiedy może się zdawać nawet, że dusza rasowa nagle uległa zmianie. Tak np. czyż anglik z czasów Cromwell'a nie różni się od dzisiejszego? Czyż włoch dzisiejszy, ostrożny i subtelny nie wydaje się nam innym od włocha namiętnego i dzikiego z wieków średnich? W istocie, są to ci sami ludzie, posiadający zawsze te same cechy psychiczne... Podatne są wpływom i zmianie tylko cechy i znamiona poboczne. Podczas wielkich epok wstrząśnień religijnych czy politycznych powstają nagle zmiany charakterów, idei i obyczajów, lecz jest to tylko efemeryczny objaw, chwilowa rewolucja, mająca wielki wpływ na osobowe cechy psychologiczne. Gdy burza mija, wszystko powraca do stanu uprzedniego, podobnie jak powierzchnia morza. Np. Francuzi w epoce konwencji wydają się „olbrzymami" w porównaniu z dzisiejszą karłowatą generacją. Byli to w gruncie rzeczy ci sami „uczciwi i spokojni mieszczanie" jakimi wydają się dzisiaj. Nadzwyczajne wypadki wstrząsnęły pewnemi komórkami ich mózgu, skutkiem czego stali się owemi posągowemi postaciami, niezrozumiałemi dla potomków. O sto lat później, Robespierre, byłby bezwątpienia uczciwym sędzią pokoju, wielkim przyjacielem swego proboszcza. Fougieur-Tinville sędzią śledczym, posiadającym może nieco więcej buty i szorstkości niż inni, ale niemniej bardziej lubianym i cenionym, niż jego współcześnicy. Saint-Juste, dowcipnym profesorem, poważanym przez swych zwierzchników i dumnym z odznaczeń, któreby napewno otrzymał. Ażeby uwierzyć, że te przypuszczenia nie są mylne, dosyć przypomnieć, co zrobił Napoleon z dzikich terrorystów, którzy jeszcze nie zdążyli sobie nawzajem głów poucinać. Oto większość z nich wyszła na naczelników biur, nauczycieli, urzędników i prefektów. Tak więc w najburzliwszych epokach zmiennemi są tylko cechy drugorzędne, zaś „dusza rasowa" jest względnie stałą, a raczej podlegającą tylko zmianom powolnym, w ciągu całych wieków dającym siebie poznać.

Rasy wyższe, posiadają wyższe „dusze rasowe". Różnice psychologiczne pomiędzy rozmaitemi rasami, są tak samo wielkie, jak różnice anatomiczne. Np. widoczne są one nietylko pomiędzy takiemi skrajnemi rasami, jak indo-europejska i murzyńska, lecz i pomiędzy ludami bliższemi sobie, jak anglicy i francuzi. Rasy wyższe różnią się od niższych również charakterem. „Charakter stanowi dobytek każdego narodu" — mówi Le Bon. A więc na charakterze jedynie można osnuć ścisłą klasyfikację ras. Nic nie może zapełnić pustki, jaka się tworzy pomiędzy rasami niższemi a wyższemi. Wychowanie nigdy nie zapełni tych przepaści, jakie jedne oddzielają od drugich. „Można zrobić skończonego matematyka lub adwokata z murzyna albo japończyka — pisze Le Bon — lecz da mu się przez to polewę powierzchowną, bez wpływu na jego ustrój psychiczny". Słowem, jego „dusza rasowa" pozostanie niezmienną. „Kardynalna różnica pomiędzy rasami niższemi i wyższemi polega na tem — pisze Le Bon w ciągu dalszym — iż pierwsze posiadają zawsze pewną liczbę mózgów bardzo rozwiniętych, gdy tymczasem drugie takowych nie mają". Jednostki w rasach niższych są sobie równe. Wyższość rasy polega więc na posuniętym najdalej indywidualnym procesie różniczkowania. Proces ten nierówności stanowi charakterystyczną i wymowną cechę współczesnych społeczeństw.

Życie narodu i wszelkie objawy jego cywilizacji są tylko odbiciem jego duszy, są widocznemi znakami prawdy ukrytej w mgle ciemnej i ponurej acz bardzo realnej. O rozwoju narodów nie stanowi ani otoczenie, ani czynniki ekonomiczne, ani instytucje, lecz charakter jego. Różne pierwiastki, wchodzące w skład cywilizacji — język, instytucje, ideje, wierzenia, piśmiennictwo, sztuka — muszą być uważane jako objawy zewnętrzne duszy plemienia, które je stworzyło. Potęga ducha rasowego najsilniej przejawia się w instytucjach politycznych. Weźmy np. Francję, gdzie rewolucje w przeciągu kilku lat zmieniają panujące instytucje polityczne do niepoznania, gdzie różniczkowanie partji rzuca się każdemu w oczy, gdzie znajdziemy sporo zabytków z uprzednich epok w urządzeniach politycznych. Jeżeli spojrzymy na to wszystko z punktu psychologicznego, to napewno odnajdziemy pewne cechy ogólne, stanowiące podwalinę ducha rasowego, przekonamy się, że partje napozór najbardziej sprzeczne, nie różnią się w swych zasadniczych tendencjach. „Czy to niezależni, radykali, monarchiści czy socjaliści — pisze Le Bon — słowem, wszyscy obrońcy doktryn najbardziej krańcowych, wszyscy, pod rozmaitemi etykietami dążą do celu zupełnie indentycznego: poch-

łonienia indywiduum przez państwo. Wszyscy więc dążą do centralistycznego porządku, bez względu na to, czy to będzie monarchja czy syndykat robotniczy — władza ma ten sam cel na widoku i on jest odbiciem „duszy rasowej“. Jeżeli weźmiemy anglików, to rząd zawsze będzie przedstawiał cechy zasadnicze: funkcja państwa będzie sprowadzoną do minimum, prywatna zaś inicjatywa do maximum. Instytucje społeczne są wytworem rasy, a więc nie mogą one być przeniesione z jednych krajów do drugich. Rozmaite republiki w południowej Ameryce zbyt wymownie nam to tłómaczą, gdzie prezydenci są zawsze absolutnymi autokratami, a na głos obywateli kraju mało kto zwraca uwagę. „Instytucje — pisze Le Bon — dają tylko sanację prawną zmianom, przyjętym przez obyczaje i opinje, a więc weszłym w życie“.

Literatura, sztuka, religja i język są również, jak instytucje, tylko ujawnieniem „duszy rasowej“ i nie mogą być przenoszone z jednej rasy do drugiej.

Wspomnieliśmy już, że ogólne cechy psychologiczne ras t. zw. duch rasowy, jest stały i dziedziczny, i że może się zmieniać pod wpływem dziedzicznego nagromadzenia pewnych czynników. W pierwszej linji więc należy tu wskazać wpływ idei. Lecz ideje tylko wtedy potrafią wywrzeć swój wpływ na duszę narodu, gdy „po bardzo długiem wyrobieniu się reszty, z ruchliwych sfer myśli przejdą w stałą i bezwiedną sferę uczuć, w której wytwarzają się motywy czynów“. Wówczas należą one już do charakteru i mogą wpływać na postępowanie. Każda dziejowa epoka zawiera kilka zasadniczych idei. Np. wieki średnie żyły dwoma ideami: ideą religijną i ideą feudalną — one stanowiły profesorów na polu sztuki, literatury i wogóle całego życia.

Ideje więc mają ogromny wpływ na życie ludów, one zapładniają dzieje, wytwarzają nowe kategorje pożycia zbiorowego i wywierają na nas wpływ tak potężny, że „imię ich nie może się zmieniać bez tego, by świat nie doznał gwałtownych wstrząśnień“.

Tak się przedstawia w ogólnych, pobieżnych zarysach książka Le Bona. Zarzucić możemy jedno: Autor bardzo nieściśle określa rasę; raz używa tego terminu w nadto szerokiem znaczeniu, raz znowu w nadzwyczaj ścisłem, mówiąc np. o rasie łacińskiej, francuskiej, angielskiej itd.

Badania antropologicznie wykazują nam, że rasa nie jest żadnem pojęciem konkretnem, lecz abstrakcyjnem, że naród zawiera w sobie typy tak zatarte, że tylko przy pomocy analizy można je wykryć z pośród domieszki wzajemnej.

Wogóle winniśmy na tem miejscu zaznaczyć, że autor wielu terminów naukowych używa po swojemu. To jednak bynajmniej nie ujmuje wartości jego dziełu, które, co najmniej jest — „jedynem w swoim rodzaju“, gdyż wybornie tłómaczy duchową stronę rozwoju ludzkiego i wykazuje z siłą, właściwą tylko wybitnemu psychologowi, wzajemny wpływ czynników umysłowych i moralnych.

Henryk Kasprowicz.

JÓZEFAT NOWIŃSKI.

WAŁCZAKI

(Nowela).

Ciąg dalszy.

— Wasza wola, a sługę mam za tańsze pieniądze. Patrzajta, jak im to mój grunt zapachniał!

— Żebyż tylko ojcu mężowskiemu służyć, a to może jeszcze i macosze przyńdzie...

— Cóż, i macosze też posłużyć się godzi. A jak zechcę, to się i ożenię... choćby z waszą Franką na ten przykład.

Sołtys, który był już prawie przy drzwiach, zatrząsł się cały i, wykręciwszy się na pięcie, wpił się oczyma w gospodarza.

— Abożem to nie kawaler dla waszej panny? — ciągnął dalej tymże drwiącym tonem Walczak. — Za mną przecie nie sześć morgów idzie, a na lata ktoby tam patrzał? Dalibóg, chociem stary ale jary. Jakich byśta się jeszcze wnuków doczekali!.. To będzie zgoda?

A Jaworski stał pochylony naprzód, jak wilk, szczękając zębami. Nie przestając wytrzeszczać oczu na Walczaka, cofnął się on trochę i wyciągniętą w tył ręką otworzył drzwi. Zdawało mu się, że w żaden sposób nie wytrzyma, że nie wypada wytrzymać, że trzeba koniecznie nawymyślać, niech więc lepiej drzwi na wszelki wypadek będą otwarte.

— Już wy, kumie, znajdzieta sobie ładniejszą i godniejszą pannę, ot Kaśkę szaloną na ten przykład... — zasyczał on, a nie przemówił nareszcie, cofając się wciąż ledwo dostrzegalnie ku drzwiom w pogotowiu do ucieczki przy najlżejszym ruchu gospodarza.

— Ja tam na ostatek i przez baby się obeńdę, a to wy siłą córkę za chłopa wydać chceta, niby popsutą, sami się z nią napraszata, to wam i szukać pod kościołem. Ot, ślepy Błażek: i śpiewa ładnie!..

— Ach ty psia... — wrzasnął całem gardłem sołtys, ośmielony spokojem przeciwnika.

Ale wtem Walczak zrobił ruch, jak gdyby się chciał podnieść, i Jaworski rzucił się w otwarte na szczęście drzwi. Dopiero za wrotami, na drodze, uczuł się on pewnym siebie.

— Ach ty, frybro niemiecka, psia mać, hyclu zatracony, bodajeś zdechł, djabelska paro!... — wrzeszczał, jak opętany, wygrażając pięścią chacie, kiedy Walczak, siedząc już spokojnie na dawnem miejscu, znów wytrząsał wygasłą fajkę.

II.

O parę wiorst wyżej za Nowym Dworem widać kilkanaście łodzi. W każdej — trzech robotników, uzbrojonych w długie mocne tyki z półkulistemi rzeszotami żelaznemi na

końcu. Regularnie, niby wahadła, opuszczają się tyki te do wody, czerpią rzeszotami uścielający tu dno Wisły żwir i ciągną zdobycz do góry. To ta, to owa tyka — dźwignia, opiera się o bok łodzi, przez dzień cały na jedną stronę przechylonej, to ten, to ów z robotników zwiesza się całem ciałem w tył, szarpiąc zarazem w równych odstępach czasu dźwignię do siebie. Trzeba do tego niemałej wprawy. Szarpnąłeś zbyt gwałtownie tykę — pęka ona i, uderzywszy się o przeciwległą krawędź łódki, lecisz głową naprzód do wody. Zaczerpnąłeś zamało żwiru — rzeszoto się ześliznęło, i znowu padasz. Zagarnąłeś zdobyczy zadużo — rzeszoto ugrzęzło, i ani rusz. Darmobyś się mocował: winduj je prostopadle do góry i na nowo zakładaj.

Ale oto nareszcie wynurza się ociekające wodą rzeszoto. Teraz trzeba je otrząsnąć, dać zbiegnąć wodzie wraz z piaskiem, i pozostanie już tylko wysypać do łódki błyskający w słońcu wszystkiemi barwami tęczy skarb — i znów od początku... Trzeci już rok z kolei, jak tylko spada woda z wiosny, wysyła stary Walczak syna na te zarobki, na cały czas wolny od pracy w polu. Jeszcze w roku zeszłym na początku kampanji towarzysze pracy o mało się nie pobili o Antka. Każdy do siebie chciał zwerbować chłopca, który zdążył zawsze wysypać co najmniej trzy rzeszota — i do tego daleko pełniejsze — zanim inny dwa wyciągnął. Dzięki temu na łódkę, na której pracował Antek, przypadało zawsze o jakie dwa — trzy złote dziennie więcej niż na inne. To też na zasadzie umowy dobrowolnej dwaj towarzysze, po równym podziale zarobku, dodają mu jeszcze od siebie po dziesiątce, zobowiązując się przytem milczeć o tym naddatku; jeszczeby się ojciec dowiedział o ukrywanych przed nim codziennie dziesiątkach. A one tak niezbędne są na pierniki i orzechy dla Franki. Ot i teraz: jutro odpust w Czerwieńsku, gdzie co rok bywają i Walczaki, i Jaworscy. Ile to już ma Franka medalików, pierścioneczków i obrazków od niego! Jutro trzeba jej będzie kupić porządną książkę do nabożeństwa: stara już na nic.

Jednemu tylko człowiekowi wygadał się Antek z wysokości swoich zarobków, ale jakże się było nie pochwalić przed ojcem Franki.

* * *

Promienie lipcowego słońca, odbijające się od zwierciadła szarej Wisły, czyniły dnia tego upał nieznośnym. Żwirownicy musieli co parę minut maczać tyki i kiedy niekiedy oblewać nawet głowy. Ale nie pragnienie wypoczynku zmusza Antka do spoglądania z taką niecierpliwością na skłaniającą się ku zachodowi kulę ognistą. To sobota: od niedzieli samej nie widział on Franki. Jak na złość przyszło do głowy jego towarzyszom od początku tego tygodnia odpłynąć o kilka wiorst dalej przeciw prądowi. Zapewne, miejsce daleko dogodniejsze, ale ani marzyć o pomknięciu stąd wieczorem do Wólki i powrocie przed świtem. A nigdy mu się właśnie tak dusza nie rwała. Dziwnego się tam coś dzieje. Już tej niedzieli z niezwykłą go jakąś wymuszonością przyjmowali Jaworscy, a nawet tu na robocie doszła go wiadomość, że o Frankę dobija się na gwałt Wicek Obalski, pierwszy lew i elegant z sąsiedniego Kroczewa, protegowany jakoby przez młodszego brata sołtysowego, ożenionego z jego ciotką.

„Obalscy — rozmyśla Antek — nie tacy bogacze, jak my, ino Wicek sierota".

Ani w głowie życzyć śmierci ojcu, tylko zazdrość go bierze taka o sieroctwo Wicka. Niechby i Antek był sierotą, czyżby się potrzebował od swojej prawie włóki gruntu po zarobkach włóczyć? Czyżby się znalazła w okolicy dziewczyna, którejby mu z pocałowaniem ręki nie dano?

Po co jednak djabli nadali tego Wicka przeklętego! Bywały chwile, kiedy na myśl o nim Antek wysypywał po dwa rzeszota na jedno każdego z towarzyszów. Żeby mu tak pogruchotać kości, skopać... I za co właściwie? zjawiała się natychmiast refleksja. Że mu się Franka udała? A gdzieżby znaleźć durnia, któremuby się ona nie udała? Przecie parę lat temu on sam, Antek, skłócił się i mocno poturbował Pietrka Wolańskiego za to, że się wyśmiewał z jej bladości i chudości. Czyż to Wicka wina, że się chce i może ożenić?

— Żebym to i ja... — miga w głowie Antka. — Przy mojem bogactwie Jaworski i patrzećby na Wicka nie chcieli!...

Ale i tak niechby on, Antek, miał choć cokolwiek tymczasem, nadzieja przyszłego spadku skłoniłaby ich napewno na jego stronę. Przecież cała wioska już dwa lata ma ich z Franką za narzeczonych, a sami Jaworscy przez palce patrzyli na ich kochanie. Ileż to wieczorów letnich aż do późnej nocy spędzili oni, we dwoje siedząc, nierzadko i objąwszy się, w małym ogródku na ławeczce pod ścianą chaty sołtysowej; a za cały czas zaledwo raz wyszturchał za to dziewczynę ojciec, a dwa matka — ale to tak, na wszelki wypadek, żeby się co złego przypadkiem nie stało. Wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko ojciec chciał go ożenić, tj. dać mu coś wedle zwyczaju na początek — wydzielić. Sołtys tak się zapalił do tego gruntu za lasem. Żenią przecież ludzie chłopaków i po dwudziestym roku.

— Niech ta co chce będzie — dziś jeszcze koniecznie muszę się z ojcem... — czyni Antek sto razy już niewykonane postanowienie.

Na samą jednak myśl o tej rozmowie zimno mu się nawet na tem słońcu lipcowem robi, i rzeszoto powolniej zaczyna odbywać wędrówki swoje z dna rzeki.

Przedewszystkiem jednak trzeba się będzie zobaczyć z Franką, wypytać o wszystko. I oto w wyobraźni oddaje on wraz z towarzyszami żwir w fortecy, spuszcza się w dół ku Zakroczymiowi, a stąd leci piechotą te półtorej wiorsty do chaty Jaworskich: przecie prawie po drodze.

Cały ten tydzień — czy przy pracy, czy żując, niby wół, swój czarny chleb — Antek wciąż miotał się duchowo, wspominał, rozmyślał, układał plany. Kiedy niekiedy rozrywały go tylko to rozmowy towarzyszy, lub przemykające się w tę i ową stronę statki parowe, berlinki i tratwy. Sam on gawęd z kolegami unikał, od chwili bowiem, kiedy dostrzegli oni wzruszenie i pomięszanie dobrodusznego chłopca na wieść o konkurach Obalskiego, każda z nimi rozmowa kończyła się niechybnie żartami z jego kochania.

— Antek! — zwraca się właśnie do niego w tej chwili Bortniański — patrz, jakie to masz szczęście: wiatr się jak raz od twojej Franki wykręca.

Antek dawno już to dostrzegł.

— Juścić od Franki — robi uwagę drugi towarzysz — tylko to dziwota, że choć niby od morza wieje, ale belejaki, a woda jak przybywa: nawet robić trudniej.

— Pewnikiem w Karpatach śniegi się zwaliły — tłómaczy z powagą, uchodzący za uczonego Bortniański — abo Austrjaki upusty wiślane otwarły...

— A juści — przerwał żywo Antek — robić i jak trudniej. Zmordowałem się setnie.

— Ty się zmordowałeś, niedźwiedziu! — parsknął śmiechem Bortniański. — Wiadomo, gdzie ci się tak śpieszy, żebyś tam aby nie wpadł na Wicka Obalskiego, abo co...

Antek za całą odpowiedź nacisnął tykę tak, że omal nie pękła. Trudno było przecież nawymyślać ojcu rodziny. Nie stracił jednak chłopak nadziei opuszczenia dziś wcześniej roboty. Inne łódki dadzą przykład: tylu tu familijnych, którzy się tydzień cały z żonami i dziećmi nie widzieli. Zresztą i sam Bortniański pośpieszy się dziś z tego samego powodu.

W istocie, więcej niż na godzinę przed zachodem, na jednej łodzi zaczęto się szykować do odwrotu.

— Wyprzedzą nas — myślał Antek — spóźnim się, a potem czekaj sto lat kolei na przyjęcie żwiru i wypłatę, a tymczasem i morka się zmoże.

Ale Bortniański, który na swojej łodzi grał rolę dowódcy, spojrzał obojętnie w tę stronę, potem na słońce i zabrał się na nowo do roboty. Antek nie wytrzymał.

— Jedziem — krzyknął nagle, rzucając jakgdyby ze złością rzeszoto swoje do łodzi.

Towarzysze porzucili robotę i, oparłszy się na tykach, ze zdumieniem spojrzeli naprzód na cichego zwykle i uległego chłopaka, a potem jeden na drugiego.

— Co się ta bez kwadrans zrobi — odpowiedział opryskliwie Antek na milczące ich pytania — a za to w fortecy ze trzy godziny się zmitręży.

I unikając ich spojrzeń zaczął szybko odgartywać żwir od prawej burty dla przywrócenia równowagi łódce.

W parę minut potem łódź mknęła z prądem, ale Antek, nie zważając tym razem na drwiny towarzyszy z jego „zmordowania", wiosłem dopomagał jej jeszcze z całych sił.

Zmrok ledwo się zaczynał, kiedy Antek przestąpił próg chaty sołtysowej.

— Niech będzie pochwalony — wymówił głosem zdyszanym, nisko się kłaniając Jaworskiej i spoglądając ukradkiem w stronę Franki, która upuściwszy na kolana łatany właśnie worek, posłała mu nawzajem badawcze spojrzenie.

— Na wieki wieków — odrzekła Jaworska, kiedy Antek zbliżał się, żeby ją w ręce pocałować.

— Ty z domu? — zapytała go niespokojnie Franka.

— Zwarjowałaś, głupia, czy co? — ofuknęła ją surowo matka — on i tak zawczas dzisia z roboty.

Zapanowało milczenie, które tembardziej niemiłem czyniły jakieś dziwne chychoty dzieci, zaglądających wciąż do okien z podwórza.

— A nie będzieta mi tam cicho, bachory zatracone! — zgromiła je, pukając w szybę, matka.

— Siadaj, Antek, co masz stoić... — zwróciła się następnie z jakąś nienaturalną uprzejmością do przestępującego z nogi na nogę chłopaka.

— Dziękuję wam — odrzekł, siadając na koniuszku krzesła naprzeciw Franki, zagłębionej w robotę, której czas już było, pomimo jej grubości, dać pokój: szara godzina się rozgaszczała.

Wtem Jaworska, która przez cały czas bez celu niby kręciła się po izbie, co chwila spozierając w okna, wyśliznęła się szybko. Dziewczyna rzuciła robotę i z oczyma, skierowanemi ku drzwiom, za któremi znikła matka, cała się w słuch zamieniła.

— Franka — szeptem, przeginając się ku niej przez stół zaczął Antek, ale dalsze słowa zamarły mu na ustach wpół otwartych: dziewczyna nakazała mu gestem milczenie, a jednocześnie doleciał go z podwórza gniewny głos sołtysa, oczywiście w odpowiedzi na jakieś niesłyszalne „i cóż?".

— A to, żeś głupia! Ilem to ci razy gadał, że ten jucha, żeby go ognie piekielne spaliły...

— To i cóż? Abo ja się kogo mam bojać? — jeszcze głośniej dorzucił już w sieniach.

Drzwi się otwarły z trzaskiem, i wszedł Jaworski, czerwony jak rak, i błyskający oczyma.

— A ty tu co robisz? — zawołał obcesem na Antka, który wstał tymczasem z uszanowaniem.

Zerwawszy się z miejsca, Franka wlepiła przerażone oczy w ojca.

— Ja... ja... przyszedem... — jąkać się zaczął oszołomiony chłopak.

— Ja... ja... przyszedem... — przedrzeźnił go, wściekle gestykulując i aż przysiadając, Jaworski. — Dyć widzę, coś przyszed, ino czego? rozumiesz — czego ci tu trza?

— Ja... ja chciałem...

— Ja... ja chciałem — jeszcze bardziej przysiadając, przedrzeźniał go znów sołtys.

— Cichoj, bestjo głupia, małpo ty jedna! — wrzasnął nagle na Frankę, która zaczęła zawodzić.

— Czego ci tu trzeba? — przyskoczył znów zaraz do Antka. — Tu dla ciebie nie ma panny, rozumiesz? Panny dla ciebie pod kościołem siedzą. Kaśka szalona — to dla ciebie panna!

— I cóż znowu? — chciała go zmitygować sołtysowa.

Ale Jaworski niedarmo przecie znany był na okolicę z gorącości, a wreszcie należało mu się powetowanie owych chwil przymusowego panowania nad sobą u Walczaka.

— Idź do djabła, babo! — wrzasnął na żonę, tupiąc nogami — to ty wszystkiego...

— A nie stulisz pyska, ty, krowo! — przyskoczył wnet znów do Franki, która się na cały głos rozryczała. — Precz! precz! — zaczął ją kuksańcami wyganiać z izby.

— A ty czego czekasz? — zwrócił się znów do Antka z pianą na ustach, skacząc wprost do oczu ogromnemu chłopakowi, który stał wciąż jak skamieniały. — Wynoś się do stu djabłów, pókiś cały...

W tej chwili przemknęły mu przez myśl owe piętnaście pudów.

— Słyszysz? Ruszaj i żebyś mi się tu więcej nie pokazował, bo inaczej...

Tu Jaworski obejrzał się dokoła, jak gdyby szukając argumentu odpowiedniego.

Odurzony Antek wziął powolnym ruchem swój kapelusz słomiany i ze zwieszoną głową, powłócząc nogami, skierował się ku drzwiom.

— Tobieby córkę kto dał! — przeprowadzał go krzyk sołtysa — żebyś ją zamęczył, jak tatulo twój swoją nieboszczkę zamęczył? Moja córka — gospodarska córka, a ty co? Parobek, fornal, najmita, golec... Precz!...

Za progiem chaty doleciał go z ogródka tłumiony płacz Franki, ale teraz nawet mu przez myśl nie przyszło pójść do niej.

III.

Z wrzasku Jaworskiego, płaczu Franki, chychotania się dzieci, kręcenia się Jaworskiej po izbie i strzępów własnych myśli i uczuć wytworzył się jakiś straszliwy chaos w duszy Antka. Niby we śnie szedł on drogą pomiędzy zagajnikiem rządowym z prawej strony i okalającem pole Jaworskiego ogrodzeniem z lewej. Przy rozstajnej drodze zawrócił machinalnie na lewo ku wsi, ale wymijając pierwszą zaraz chatę, nagle przystanął.

— Gdzie ja idę?

W duszy jego, zgnębionej sceną przebytą, wieczny strach przed ojcem zaczął przybierać niezwykłe rozmiary, a

oprócz tego teraz dopiero należycie doszło do jego świadomości owo zasłyszane przy wyjściu od sołtysów łkanie Franki.

— Czy ona tam jeszcze płacze, czy nie?

Spojrzał w kierunku chaty Jaworskich: w oknach było już światło, i niby ćmę, pociągnęło go ono ku sobie.

Zaledwie postąpił parę kroków, z Wisły doleciało go gwizdanie przeraźliwe, sygnał jakiegoś parostatku zapóźnionego, i w jednej chwili stanał mu w pamięci taki sam wieczór z przeszłego roku.

Szedł on niby tak samo, jak teraz, patrząc na jasne okna Jaworskich, kiedy przy wymijaniu tej samej chaty Nowakowskich, doleciał go taki sam sygnał; i wtedy woda była duża, i statek mógł iść nocą, nie obawiając się mielizn. U wrót sołtysowych stała Franka sama jedna. „Co tak późno?“ — słyszy on jej gniewny niby półszept. „Ociec kazali stół wyreparować i oną piłę, cośma pożyczyli, do Nowakowskich zanieść, tom drogi nałożył“ brzmi mu tak samo zcicha własna odpowiedź. „Chodź!“ I ni z tego, ni z owego za rękę go chwyciła. W ciemnych sieniach, sam nie wiedząc dlaczego, ścisnął on mocno jej rękę. „Idź głupi“ zasyczała, ale bez złości, choć widocznie powstrzymując okrzyk bólu. On jednak, wystraszony tym jej szeptem, puścił ją natychmiast i już miał otworzyć drzwi, z za których słychać było rozmowę gospodarzy o jakichś kartoflach z łońskiego roku, kiedy wtem Franka, niby chcąc się pierwsza do izby przecisnąć, dziwnie się jakoś przytuliła do niego. Wtedy on otoczył ją mocno jednem ramieniem, nie zdejmując z klamki drugiej ręki, i schylił się ku niej: usta jego natrafiły jak raz na jej usta. Darmo siliła się uwolnić z jego uścisku, oderwać usta od ust, i nie wiadomo, jak długeby to było trwało, gdyby nareszcie sołtys, usłyszawszy widocznie szmer, nie potrącił go był z zewnątrz drzwiami. „Czyś ty pijany? — były jego pierwsze słowa do Antka, który nie wszedł, ale wtoczył się do izby: — a gdzie Franka?“ A ta zdążyła zawczasu wymknąć się niespostrzeżenie.

Wspomnienie to, z błyskawiczną szybkością przeleciawszy przez jego duszę, wstrząsnęło nim do głębi. Opanowała go szalona chęć być tam, i dusząc się od płaczu, co mu gardło ściskał, zaczął biec z całej siły, jakgdyby uciekając od śmierci.

Po chwili jednak, w miarę zbliżania się, zaczął zwalniać kroku i wreszcie poszedł, skradając się, jak złodziej. Z ogródka doleciał go niebawem piskliwie donośny głos Jaworskiej.

— Wyrzuć go z głowy i tylo! Co mawa robić, kiedy ociec nic mu nie da? A dyć sama nie chcesz iść do tego świniaka zacieczonego, co to sobie niczegój nie żałuje. I coby to było? I mąż nie na ciebie by abo na dzieci, a na swego tatula zatraconego robił, a i ty także. A stary zechce może jeszcze i ze dwaścia roków pociągnąć, a czy to raz gadali po wsi, co niby wele żeniaczki myśli? Ot i tera ta Szczurzyna... Idź! wyrzuć go z głowy, pedam ci, i tylo!..

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Czesko-polskie zbratanie nastąpiło na polu neutralnem, bo umysłowem i na gruncie obcym, bo w Paryżu. Mianowicie delegat krakowskiej Akademji Umiejętności, a zarazem szef tamtejszej stacji naukowej polskiej p. dr. K. Górski załatwiać odtąd będzie z polecenia krak. Akademji — wszystkie agendy czeskiej Akademji naukowej w Pradze. Ważną tę sprawę porusza w ostatnim numerze „Kraju“ p. S. Krzywoszewski.

T. Kościuszko doczekał się bezstronnej (co za dziw w dzisiejszych czasach hakatyzmu!) i umiejętnie napisanej monografji w języku niemieckim. Autorem jej jest dr. Robert F. Arnold. Rzecz, wydana w Berlinie u Mayera i Müllera, nosi tytuł: „Taddaeus Kościuszko in der deutschen Literatur“.

„Przegląd literacki“ zamieszcza nieznane dotąd, bardzo ładne, oryginalne poezje L. Ulricha, głośnego tłómacza dzieł szekspirowskich.

Przekłady. „Koln. Volkszeitung“ zapowiada przekłady: powieści T. J. Choińskiego p. t.: „Gasnące słońca“ i nowel E. Orzeszkowej.

Rosyjski powieściopisarz Boborykin postanowił zabawić się w moskiewskiego Zolę i w tym celu udaje się do Rzymu, aby na tle wrażeń osobistych, odniesionych w wiecznem mieście, osnuć wielką powieść.

W Warszawie poruszono projekt wydania zbiorowego pism śp. Klemensa Junoszy, autora „Pająków“. Świeżo ukazała się na półkach księgarskich większa nowela zmarłego pisarza p. t. „Fałszywa kuropatwa“.

Opera nadworna w Wiedniu przygotowuje do wystawienia dawno niegrany utwór Lortzinga, jednoaktową operę, p. t. „Próba operowa“, następnie zaś „Don Pasquale'a“ Donizettiego.

Trzecia międzynarodowa wystawa sztuki otwartą zostanie w Wenecji 22. kwietnia br.

Dyrekcję Monstre-koncertu, który odbędzie się 18. sierpnia br. w Wiedniu — objął Leoncavallo, który skomponował hymn jubileuszowy, poświęcony cesarzowi Fr. Józefowi I.

Adam Staszczyk, autor znanych sztuk pt.: „Noc świętojańska“ i „Kościuszko w Petersburgu“ — napisał nowy utwór p. t. „Noc Belwederska“.

Koło polsko-lit. w Paryżu zamierza uczcić jubileusz Wł. Żeleńskiego przez wydanie jego pieśni z tekstem francuskim.

Obraz Gierymskiego p. n. „Widok wioski polskiej“ nabyty został na licytacji obrazów w Berlinie za sumę 4600 marek.